

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.

Sprzedaż materyałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Józef Bezdek tapicer i dekorator **Lwów, Pańska 15**
poleca się Szanownej P. T. Publiczności.

MAURYCZY LEBLANC.

WYDRAŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

19

(Ciąg dalszy).

— Ależ nie, nie, mówiła zdziwiona, nie brakowało żadnej kartki.
— A jednak wyrwano je...
— Przecież książka ta przez całą noc była w moim pokoju.
— A rano?
— Rano zniósł ją sama tutaj, gdy oznajmiono przybycie pana Massibana.
— A więc?
— Ja nie rozumiem... chyba że... ale nie...
— Co takiego?
— Jerzy... mój syn... bawił się rano tą książką.

Wyszła pospiesznie w towarzystwie Beautreleta Massibana i barona. Chłopca nie było w pokoju. Szukano go wszędzie. Znalezione go wreszcie, jak bawił się zamkiem. Wszyscy jednak obecni byli tak podnieceni i pytali go z taką powagą, iż dziecko zaczęło płakać.

Wezwano służbę i ją badano. Chciano od razu zbadać całą prawdę. W domn powstał tumult nie do opisania. Beautrelet miał wrażenie, że poznanie tajemnicy wymyka mu się z rąk, jak woda przeciekająca poprzez palce. Opanował się z wysiłkiem, wziął pod ramię panią de Villemon i razem z baronem i Massibanem wrócił do salonu.

— Książka jest niekompletna — rzekł — dobrze, dwie kartki z niej wyrwano... lecz pani je przeczytała, prawda?

— Tak.

— Pani wie, co one zawierały?

— Tak.

— Czy może pani nam to powtórzyć?

— Owszem. Całą książkę przeczytałam z wielką ciekawością, te dwie jednak kartki zainteresowały mnie szczególnie ze względu na wyjaśnienia i na ich doniosłe znaczenie.

— Proszę więc, niech pani mówi, błagam o to panią. Te wyjaśnienia są niezwyklej wagi. Proszę, niech pani mówi, czas stracony nigdy nie powraca. Igła wydrażona...

— Oh! to jest bardzo proste. Igła wydrażona znaczy...

W chwili tej wszedł służący.

— List dla pani...

— Tak?... przecież listonosz nie przyszedł.

— Jakiś chłopiec go przyniósł.

Pani de Villemon przeczytała i nagle przyciskając rękę do serca, osunęła się na fotel błada i bliska omdlenia. List zszedł się na podłogę. Beautrelet podniósł go i bez wahania przeczytał:

„Proszę milczeć, w przeciwnym razie syn pani nie obudzi się...”

— Mój syn... mój syn... — powtarzała tak osłabiona, iż nie miała nawet mocy iść na pomoc temu, komu grożono.

Beautrelet uspakajał ją.

— To nie jest na seryo... to jakiś niesmaczny żart... komuż by zależało na tem?...

— O ile, poddał Massiban, nie działa tu sam Arseniusz Lupin.

Beautrelet dał mu znak, by milczał. Wiedział on dobrze, że nieprzyjaciół jest znowu tutaj czujny i zdecydowany na wszystko i dlatego chciał od pa-

ni de Villemon dowiedzieć się jak najprędzej, wyrwać z niej natychmiast to wyjaśnienie.

— Błagam panią, niech pani się opanuje... jesteśmy przecież wszyscy tutaj... nie grozi żadne niebezpieczeństwo...

Czy zacznie mówić? Tak sądził, spodziewał się tego. Wyszeptała kilka słów. Lecz drzwi otworzyły się znowu i wbiegła przez nie bona. Zdawała się być przestraszona.

— Pan Jerzy... proszę pani... pan Jerzy...

Odrzuć matka odzyskała wszystkie siły. Popychana instynktem, który ją nie mylił, zbiegła po schodach, wyprzedzając wszystkich, minęła westibul i wpadła na torasę. Tutaj na fotelu leżał nieruchomo młody Jerzy.

— Spil...

— Usnął nagle, proszę pani — tłumaczyła bona — chciałam mu nie pozwolić i zanieść do pokoju, zasnął jednak od razu i rączki jego stały się zimne.

— Zimne! — jęknęła matka... — tak, zimne... ach mój Boże! mój Boże! byle tylko się obudził! Beautrelet wsunął rękę do kieszeni spodni, schwycił rączkę rewolweru, odcignął kurek i wyciągając szybko broń zmierzył do Massibana.

Massiban, jakby śledził zawczasu jego ruchy, odskoczył z pod lufy, lecz w tej chwili Beautrelet rzucił się na niego, wołając na służbę:

— Do mnie... to Lupin...

Pod siłą skoku Massiban przewrócił się na jeden z foteli.

Nie upłynęło nawet kilka sekund, gdy podniósł się, trzymając w ręce rewolwer Beautreleta i pozostawiając na miejscu zadyszanego młodego człowieka.

— Dobrze... doskonale... nie ruszaj się... będziesz ziajał przez kilka jeszcze minut... Dużo czasu zużył, zanim mnie poznałeś... Muszę wyglądać jak prawdziwy Massiban?...

Wyprostował się, głowę podniósł do góry i spoglądając z pewną siebie miną na trzech przestraszonych służących i barona, śmiał się.

— Izidorze, znowu spaliłeś na panewce. Gdybyś im nie powiedział, że jestem Lupin, skoczyliby mi do gardła. A wobec takich chłopów jak oni, co by się ze mną stało? Mój Boże! Czterech na jednego!

Zbliżył się do nich:

— Nie bójcie się moje dzieci... nie zrobię wam szkody... napijcie się wody, to was orzeźwi. Ach! i ty, tu poznaję cię. Tobie zapłaciłem, byś zaniósł list swej pani... Prędzej, prędzej, niegodny sługo...

Wziął banknot, który mu podał służący i podarł go na drobne kawałki.

— Pieniądze za zdradę... brudzą one ręce.

Zdjął kapelusz i kłaniając się nisko przed panią de Villemon, rzekł:

— Czy przebaczy mi pani? Okoliczności życia, a zwłaszcza mojego zmuszają nieraz do okrucieństwa, od którego sam się rumienię. Niech pani nie lęka się jednak o swego syna, jest to tylko ukłucie, maleńkie ukłucie, które mu zadałem podczas gdy go pytało. Za godzinę najwyżej nie będzie najmniejszego śladu... Jeszcze raz proszę wybaczyć mi to, potrzebowałem jednak pani milczenia.

Stoił się znowu, podziękował panu de Velines za jego miłą uprzejmość i gościnność, wziął laskę, zapalił papierosa, częstując nim barona, kiwnął wszystkim głową, zawołał protekcyjnie do Beautreleta:

— Bądź zdrow, bębnie!

I odszedł spokojnie, puśczać dym w nos zdumionej służbie...

Beautrelet przeczekał kilka minut. Pani de Vil-

lemon czuwała nad swym synem. Podeszedł ku niej, by zwrócić się do niej z ostatnim błaganiem. Wzrok ich skrzyżował się. Nie rzekł już nic. Pojął, że ona teraz, co by się nie stało, nie wymówi o tem ani jednego słowa. W umyśle jej matki tajemnica Igły Wydrażonej zapadła tak głęboko, jak i w zmroku przeszłości.

Zrezygnował wobec tego i odjechał.

Było pół do jedenastej. Pociąg odchodził o jedenastej pięćdziesiąt. Wolnym krokiem przeszedł przez aleje parku i wyszedł na drogę, wiodącą do dworca.

— I jakże, co ty o tem powiesz?

Był to Massiban. a raczej Lupin, który wyszedł z przydrożnego lasu.

— Dobrze było wszystko ułożone? Jakże ci się podoba twój stary przyjaciel? Jestem pewny, że już tu nie powrócisz, prawda? i pytasz się teraz, czy tak zwany Massiban, członek Akademii, istnieje rzeczywiście? Owszem, istnieje. Pokażę ci go nawet, o ile będziesz grzeczny. Muszę ci jednak naprzód oddać rewolwer... Patrzysz, czy jest nabity? Ależ tak, mój drogi. Jest w nim pięć kul, z których jedna wystarczyłaby do wysłania mnie *ad patres*... Chowasz go do kieszeni?... Bardzo pięknie... Wzięło to, niż tamto, coś uczynił w zamku... Brzydko był twój ruch!... Lecz co było robić, jest się młodym, spostrzega się nagle, niespodzianie, że znowu jest się wywiezionym przez tego przekłętą Lupina, że ma go się przed sobą na trzy kroki... pffft, strzela się... Nie mam do ciebie za to żalu... Na dowód zapraszam cię do swego samochodu o sile stu koni. Zgoda?

Włożył dwa palce do ust i zagwizdał.

Kontrast między poważnym wyglądem starego Massibana a łobzierskimi ruchami i akcentem Lupina był tak komiczny, iż Beautrelet nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Roześmiał się! roześmiał się! — zawołał Lupin, podskakując z radości. — Wiesz, bębnie, czego ci brak? uśmiechu... jesteś za poważny na swój wiek. Jesteś bardzo miły i sympatyczny, masz w sobie urok naiwności i prostoty... brak ci jednak uśmiechu.

Stanął przed nim.

— Złożę się, że się rozplaczesz. Wiesz, w jaki sposób cię śledziłem? w jaki sposób dowiedziałem się o liście Massibana do ciebie i o spotkaniu, jakie ci naznaczał na dzisiaj rano w zamku Velines? Przez gadatliwość przyjaciela, u którego mieszkasz... Dowierzasz temu głupcowi, a on nie ma nic lepszego do roboty, jak lecieć z tem zaraz do swej kochanki... A ona nie ma sekretu przed Lupinem. Co ci powiedziałem? Oczywiście już pełne łez... przyjaźń zdradzona, co? sprawia ci to przykrość... Jesteś rozkoszny, mój mały... Uściskam cię... masz zawsze zdziwione wejście, które mnie rozczula... Przypominam sobie ciebie w Gaillon, gdyś mnie się raźnił... Ależ tak, to ja byłem starym notaryuszem... Śmieję się, bąkn... Powtarzam ci, że ty naprawdę nie masz uśmiechu. Nie masz, jakby to powiedzieć... brak ci impulsywności. A ja mam impulsywność.

Słychać było zbliżający się samochód.

Lupin schwycił niespodzianie Beautreleta za rękę, wpił się w niego oczami i rzekł chłodno:

— Będziesz teraz spokojny, co? widzisz, że nie nie poradzisz. Po co zużywać swe siły i tracić czas? Dostyć jest bandytów na świecie... Chwytaj ich, a mnie zostaw... bo... No zgoda już, prawda?

Wstrząsnął nim, jakby chciał poddać go swej woli, potem zawołał:

— Jakież jest mnie głupiec! Ty masz mi odbierać spokój... Ach! nie wiem, co mnie powstrzymuje... Raz, dwa i byłbyś związany, zakneblowany, a za